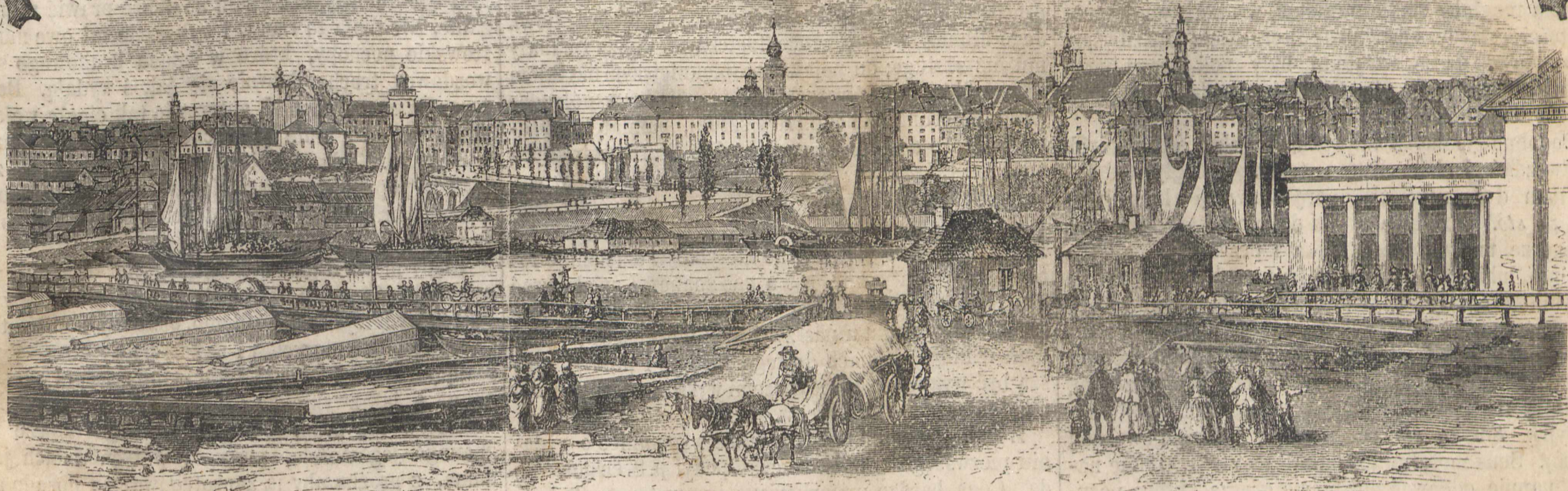


TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 2.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, ^{26 września} 1859. _{8 października}
Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartal. rs. 3. Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM I.

TREŚĆ NUMERU.

Pomnik Ignacego Komorowskiego (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Żywot i przygody Imci pana Józefa Gabriela Gozdzkiego, wojewodzica podlaskiego (ciąg dalszy). — Wystawa rolnicza w Łowiczu (z pięciu drzeworytami). — Konstanty Świdziński (dokończenie). — Sprawozdanie z postępu nauk przyrodzonych, przemysłu i wynalazków. — Kronika zagraniczna. — Skepe (z drzeworytem). — Zadanie konikowe i rebus.

POMNIK

Ignacego Komorowskiego.

Z powodu zawczesnej śmierci kochanego i cenionego powszechnie pieśniarza, Ignacego Komorowskiego, odgłos szczerzego żalu rozległ się w wielu stronach kraju naszego. Żal ten następnie objawiono czynem; jako kto mógł spieszył złożyć datek, by zgasłemu artyście wystawić pomnik na grobie, mający świadczyć o istotnej jego na polu muzyki narodowej zasłudze i o wdzięczności ziomek dla jego rodzimego talentu. Jakoż dnia 30 lipca b. r. zebrało się grono przyjaciół i wielbicieli zmarłego na cmentarzu powązkowskim, i w obec nich, piękny a skromny jak życie Komorowskiego, pomnik poświęconym został. Chłopczyna wiejski z odkrytą głową, trzymając w lewej ręce fujarkę i rogatą czapkę, prawą kładzie wieniec na lirę położoną na dużym polnym kamieniu, z napisem:

*Śpiewakowi
Kaliny
Ziomkowie.*

nad nim zaś wznosi się krzyż prosty z krągłaków, chustką przewiązany.

Nie można było trafniej uplastyczyć człowieka i talentu jakim za życia się odznaczał; niepodobna było z większą prostotą i serdecznością streścić szczerzego żalu po zgasłym pieśniarzu... Załączony tu drzeworyt, zdjęty z fotografii Beyera, lepiej zaświadczy o pomyśle i wykonaniu, z którego tak szczęśliwie wywiązał się pełen zdolności rzeźbiarz Święcki.

Szczegóły życia i charakterystykę talentu Komorowskiego podamy później przy jego wizerunku.

Kronika tygodniowa.

„Dlaczego na czele najpierwszej swojej kroniki nie zamieściłeś wstępu?“ — pytał mnie jeden z moich przyjaciół,

(wiadomo że istnieją teraz na świecie trzy rodzaje przyjaciół, mianowicie: przyjaciele którym jesteśmy obojętni, przyjaciele którzy nas nie lubią i przyjaciele którzy nas nie cierpią. Rassa przyjaciół którzy nas kochają, wyginęła już dzisiaj ze szczeniem). „Byłbyś w tym wstępie, mówił dalej mój przyjaciel, znalazł szerokie pole do rozwinięcia swoich opinij o sprawozdaniach tygodniowych, ich dążności, celach, do wymienienia wszelkich przymiotów moralnych i cnót które pragniesz wpoić w czytelników „Tygodnika Ilustrowanego,“ do zaokrąglenia wreszcie własnej swojej pracy, która dziwnie jakoś wygląda, niby dalszy ciąg bez początku i końca.“

Otóż, kochany mój przyjacielu, właśnie dlatego nie dałem wstępu, żem nie chciał od razu olśniewać czytającej publiczności całym zasobem moralności i cnoty jaki jest we mnie, ani postępować na wzór owych kupców, co najpiękniejszy wybór swoich towarów wystawiają na front sklepu, poza oknami od ulicy, żeby zwabić przechodniów, którzy wszedłszy do wnętrza magazynu, znajdą tam za to same pustki i wybierki. Obecnie staram się obficie zaopatrzyć mój magazyn, a jak będzie pełny, wtedy dopiero z wystawą wystąpię. Tymczasem przyjmijcie co mam. Kroniki tygodniowe są towarem z Paryża przywiezionym, jak wszelkie modne towary; niejeden starał się go przerobić na warszawskie kopyto, choć zawsze na nim czuć stempel paryzkich fabryk. Dziś gdy i mnie z kolei przyszło za innymi na tój ślizkiej drodze, będę się starał, jako stronnik krajowego przemysłu, żeby wyrób który pod ocenienie wasze oddaję, ile możności najmniej zagranicznych cech nosił na sobie. Czy siły starczą? — nie wiem, w każdym razie dobrej woli nie brak.

Więc najprzód, chociaż konkurs Żółkowskiego, o którego rezultacie w przeszłym tygodniu wam doniosłem, jest już przebrzmiałą sprawą, pozwólcie mi wrócić do niego i rzucić tu parę uwag, które mi się wydają słusznymi, tém bardziej, że ostatnia *pagadanka* „Gazety Codziennej“ napomknęła już o tém. Wiadomo że p. Józef Korzeniowski, jako nagrodę za komedią *Majątek albo imię*, uznaną zdaniem sędziów za najlepszą, otrzymał rsr. 350, ale pozbył się tém samym już prawa własności swojej komedii. Zysk ze sprzedaży téjże, rsr. 300 wynoszący, udzielony został p. Apollonowi Korzeniowskiemu, który otrzymał accessit za swoją komedią *Dla milego grosza*, a pomimo tego nie stracił prawa do sprzedania téjże, i uzyskuje za nią, jak słyszeliśmy, 150 czy też 200 rsr. Owóż dziwny wypadek konkursu, że druga z kolei komedia daleko hojniej jest nagrodzoną od pierwszej. Nie oceniając wcale wewnętrznej wartości każdej z tych komedij, a biorąc tylko miarę ze zdania przez sędziów wyrażonego, twierdzimy że tak znaczne wynagrodzenie accessitu, staje się niejako krzywdą już nietylko laureata, ale dalszych konkursów, które, jak nas wypadek ostatniego przekonywa, łatwo dałyby się przeciągnąć na czas bardzo długi. Wyznaczając accessitowi połowę albo dwie trzecie nagrody przez pre-



POMNIK IGNACEGO KOMOROWSKIEGO.

miowaną komedią otrzymanej, możnaby odłożyć resztę, wynoszącą zawsze mniej więcej 300 rsr., na inny znów konkurs, z którego dochód podobnie mógłby być rozporządzonym. Jeżeli zaś podawane do nagrody komedye będą stosunkowo coraz lepsze, jak to z dotychczasowych skutków sądzić można, to takie pomnożenie konkursów wyrzucić powinno zbawienny wpływ na scenę i literaturę, tém bardziej że żywiłyby się one same sobą, a nawet wyznaczona na nagrodę summa mogłaby ciągle wzrastać, w miarę wzrastania wartości komedji i ceny prac literackich. Radziłyśmy żeby słowa nasze wziętemi były pod uwagę przez tych, którzy będą się trudnić urządzeniem przyszłych zasad konkursowych.

Podobno jedną z najważniejszych części naszych sprawozdań będzie zawsze teatr. Ubiegły tydzień dał nam dwie nowości, operę *Lazarille* i komedijkę *Sto za sto*. Obiedwie sztuki dobrze zostały przyjęte. W operze muzyka dość lekka i przystępna, a taką właśnie lubi nasza publiczność; niechby tylko te dwa przymioty odbiły się w grze artystów, a nie byłoby nic do życzenia. Pan Dobrski, nietylko już jako pierwszorzędnny europejski śpiewak, ale jako znakomity artysta sceniczny, pozostanie u nas zawsze wzorem, na który należałoby się innym zapatrywać. Za to komedijkę *Sto za sto* odegrano z żywością i swobodą wielką. Sens moralny tej sztuki jest taki, iż nie należy pannie oddawać półtrzecia grosza, które pożyczła od kawalera w omnibusie. Tym razem piękna dłużniczka (pani Bakałowiczowa) w wierzycielu znalazła męża, i winszujemy jej szczerze tego nabytku, bo bardzo nam się podobała ta postać agenta giełdowego Corbineau, może trochę oryginalna, ale dobrze nakreślona przez autorów i wybornie oddana przez p. Świeszewskiego. Pan Chęciński jako stryjasek, nie z Ameryki ale z Kastylii, był w samą miarę pocieszny, i nie goniąc za śmiesznością, potrafił jednak utrzymać widzów na przyzwoitej stopie wesołości. Przekład gładki, śpiewki dobrze wierszowane i wybornie podłożone pod muzykę, co się u nas dosyć rzadko zdarza.

W bieżącym tygodniu nowa komedia, tłumaczona z francuzkiego, pod tytułem *Kopista*, na przyszły tydzień *Tak się dzieje*, komedia wierszem Bogusławskiego, o której już donosiliśmy. Sztuk w nauce niemało, jest zatem nadzieja, że w tydzień będziemy mieli jakąś nowość. Więc co do komedji śmiało można powiedzieć, że będziemy zasobniejsi w nie, niż kiedykolwiek bądź, idzie tylko o dramata, które od pewnego czasu trochę jakoś zaległy pole. W przeszłotygodniowej kronice, w wyliczaniu librettów pisanych do oper, zapomniałem o *Parii* Chęcińskiego. Tym razem Moniuszko pragnie wynagrodzić krzywdę biednemu wyrzutkowi indyjskiemu, układając go pod muzykę, chociaż i tak nieszczęśliwy Paria nie minie się ze swoim przeznaczeniem zależności, bo nawet w Polsce będzie musiał śpiewać jak mu zagrają.

Nieraz już pisma publiczne wspominały u nas o spekulacjach niektórych przemysłowców, co zakupiwszy tu i owdzie place, budują na nich nowe domy, nie troszcząc się o dobór materiałów, staranność roboty i wygodę przyszłych lokatorów, ale mając tylko na celu szybkie wyciągnięcie z tych budowli, na fuzerkę wykonanych, ile możności najspieszniejszych korzyści, i następnie odprzedanie ich z zyskiem. Jedną z takich nowostawianych kamienic zawałiła się w tych dniach na ulicy Nowogrodzkiej i gruzami przygniotła kilku ludzi. Był to dom o jednem piętrze od ulicy, o dwóch od podwórka; nawet oficyna nie stanęła jeszcze, kiedy już się front zawałił. Podobno wybieranie piasku z pod fundamentów miało się także do tego nieszczęścia przyczynić. Dziwić się tylko należy, że tak nieogłędnie budują się niektóre domy. Nieraz w pokojach tu i owdzie, kiedy doróżka przejeżdża przez ulicę, piec się cały trzęsie, a krzesła i kanapy tańczą menueta. Niestety! daleko odbiegliśmy od wieży Babel i piramid egipskich. Ale co tam nawet takie stare rzeczy odgrzebywać; niechby panowie stawiacze nowych domów u nas przypatrzyli się szczątkom murów zamku czerskiego albo ciechanowskiego, jakie to tam wapno i cegły nieoświeceni przodkowie nasi umieli przygotowywać pod budowę; niechajby zresztą przeszli się po starém mieście i tam zmierzylili grubość murów niektórych kamienic. Ci panowie snadź za bardzo przejęci są zasadą o nietrwałości dóbr ziemskich; niechby już sobie w takich rzeczach mniej religijnie postępowali.

Wiadomo że wybornie zachowany rękopis Behma z początków XVIgo wieku, przy którym znajdują się miniatury rysunki wszystkich ówczesnych cechów krakowskich, jest ozdobą biblioteki uniwersytetu Jagiellońskiego, i należy do najpiękniejszych tego rodzaju pomników wkraju naszym. Owóż p. Beyer, odwzorowawszy za pomocą fotografii wszystkie najcenniejsze ozdoby tego rękopisu, zamierza wydać je na widok publiczny. Nie pierwszą to już ważną a użyteczną pracą tego rodzaju pan Beyer przysługuje się krajowi. Jego albumy wystaw archeologicznych ważną zjednały mu już zasługę; on pojął że najpiękniejszym użytkiem fotografii jest rozpowszechnienie pomiędzy współrodakami wizerunków pomników sztuki, pamiątek krajowych, które dotychczas mały tylko liczbie wybranych znanymi były. Taka praca, trudniejsza daleko w wykonaniu od zwyczajnych, mechanicznych próbek, ale stokroć szlachetniejsza celem, przynosi zaszczyt panu Beyerowi, którego nazwisko nietylko w dziedzinie fotografii sympatycznie jest u nas znane. I spodziewać się należy że ogół poprze przedsięwzięcie tego rodzaju, które w braku u nas zwykłych mecenasów, dających w innych krajach do tego zachęte i pomoc, muszą być wykonane pojedynczemi wysiłkami, poświęceniem artystów i wydawców.

Z obowiązku należy nam także wspomnieć o wydaniu pierwszego zeszytu Encyklopedji p. S. Orgelbranda. Cena bardzo uniarkowana i przystępna dla każdego. Dziewięćset egzemplarzy pierwszego zeszytu w przeciągu kilku dni rozkupionych, z bezprzykładną dotychczas, jak na Warszawę, skwapliwością, stanowią najlepszy dowód ważności i potrzeby tego dzieła. A i tu przykład szedł z dołu, bo teraz pod tym względem odwrócone są jakoś posady społeczne: dawniej z góry na dół, teraz z dołu do góry dobry przykład idzie. Najchętniejszymi do wspierania tego kosztownego przedsięwzięcia stanęli drobni i mali, ci właśnie, na których oświecenie, na których środki podług zwyczajnych prawdopodobieństw najmniej trzeba było rachować. Klasa pracująca, poczciwa ludność rzemieślnicza, większość stanowi w powyżej wymienionej liczbie; ale za to na tej względnie licznej liście prenumeratorów, i mniej nam przyjdzie widzieć nazwisk które obowiązkowo znaleźćby się tam powinny. Uchyłamy więc głowy przed dolinami, które dziwną sprawą Bożą słońce oświeca jasnym swym blaskiem, kiedy góry mgła zaległa.

Niemalęj wytrwałości i wiary w poparcie publiczne trzeba było, ażeby się podjąć druku tak kosztownego dzieła, zwłaszcza w kraju naszym, gdzie trzeba liczyć na sprzedaż bardzo ograniczonej liczby egzemplarzy. Ale za to gdy tutaj trudno o drugą edycję najpożyteczniejszej nawet i najbardziej zajmującej książki, czytamy co chwila ogłoszenia o trzecim i czwartym transporcie winogron węgierskich i włoskich, o piwie bawarskiem z dziesiątej lodowni dwunastego zlewu, i o likierach martynickich, z których zakupywaniem trzeba diabelnie się spieszyć, bo druga ich edycja, z wielkim kosztem sprowadzona, w przeciągu półtora dnia zupełnie wyczerpaną została.

Ale gdyby nie te nieoszacowane likiery martynickie, byłbym na śmierć zapomniał donieść wam o niesłychanie ważnej nowości, która przynosi zaszczyt smakowi wykształconemu mieszkańcom Warszawy, oraz gorliwości tych, którzy ten smak starają się utrzymywać na przyzwoitej stopie. Oto jeden z zakładów gastronomicznych tutejszych, sprowadził z wielkim kosztem i trudem, nam na chwałę a bie na pożytek, kucharkę z Hamburga!... słyszyście, aż z Hamburga!... dla należytego przyprawiania raków morskich i innych gadzin zagranicznych, którym barbarzyńskie palce kuchmistrzów tutejszych nie umieją nadać dość estetyczno-kuchennych przymiotów. Cieszymy się więc że będziemy jedli skorupy przyprawione po hambursku; ja zaś, jako zapalony lubownik postępu kulinarnego, radziłbym innym handlom, ażeby nam chciały sprowadzić z Chin majstra, do przyprawiania gniazd jaskółczych, glist i liszek ogrodowych, bo podobno tego specyału u nas nie zabraknie. Po co tak dobre rzeczy mają się marnować?

W Warszawie odbyło się w tych czasach kilka nowych ślubów, a chrzcin co niemiara. Chwała Bogu, wielki u nas urodzaj na dzieci. Nie brak nam wprawdzie miejsca na pomieszczenie tej nowej ludności, której my starsi będziemy musieli kiedyś z placu ustąpić; radbym tylko żeby ci młodzi potomkowie nasi znaleźli przed sobą już utarte pole pracy i pomyślności

narodowej. A ponieważ oni będą zbierać to co my zasyjemy, nie siejmyż kłokolu. Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz, mówi przysłowie. U nas pokolenia ściera dla pokoleń; niech ci którym twardo, pamiętają o tém, żeby dzieciom swoim miększe posłanie zgotować, a gnusność, opieszałość, wstręt do pracy, nie przysporzą im puchu.

Dalibóg zapomniałem się, i widzę że zamiast kroniki tygodniowej, zaczynam na dobre prawie wam kazać. Nie moja to rzecz, i wybaczcie mi owe moralistowskie pochopy, które w ustach brukowego sprawozdawcy trochę dziwnie się jakoś wydają. Bo też teraz wszyscy niemal autorowie tak ciągle wołają o poprawę, że i mnie się zachciało śpiewać z nimi na jedną nutę. Tylko że nie wszyscy się zgadzają, zkaż i jak ta poprawa ma przyjść; zawsze przecież nauczycieli nie braknie, tylko pojętych uczniów bardzo mało dotąd.

Kiedy mowa o nauczycielach i uczniach, muszę wam opowiedzieć pewien dość ciekawy fakt, który się w tych dniach wydarzył. Jak wiadomo, otworzą nam się teraz nowe posady nauczycieli i nauczycielek muzyki, przy mającym się otworzyć instytucie muzycznym warszawskim, a jak zwykle się dzieje w takich razach, konkurentów nie brak. Otóż do pewnego dobrze nam znanego jegomościa, przyszła w tych dniach jakaś dama, z prozbą aby ją zaprotegował na posadę nauczycielki w tymże instytucie.

— Pani musisz dobrze posiadać muzykę? zapytał mój przyjaciel, bo wiadomo zapewne pani, że to jest pierwsza kwalifikacya, żądana od kandydatek na tę posadę.

— Muzykę? odpowiedziała dama, przyznam się panu że muzyki nieznam wcale, ale zato umiem dobrze po francuzku.

ŻYWOT I PRZYGODY

IMCI PANA JÓZEFA GABRYELA

Z GOZDA HRABI GOZDZKIEGO,

WOJEWODZICA PODLASKIEGO,

opisane przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Dalszy ciąg.)

Gdziem się w obozie pokazał, otaczali mnie i na ręku nieomal nosili, ale też nigdy na sucho się nie obeszło i zawszem spotkanie przypłacił.

Jużem tak kilka miesięcy nowicyatu tego odbył uprzykrzonego wielce, gdy jednego wieczora, znalazłszy Małachowskiego w usposobieniu powolniejszym, jałem go prosić, ażeby mi na patrol nocny jechać pozwolił.

— Tobie się to chce koniecznie głupstwo jakieś zrobić, a mnie i sobie kłopotu... dałbyś pokój. Spodziewamy się bitwy, no to sobie pozwolisz i niemieckiego mięsa spróbujesz... miéjże cierpliwość.

Wyperswadować mi było trudno, kiedym się na co uwziął; jakem go jał modlić, i prosić, i przekonywać, choć przeciw przekonaniu, dał mi nocny patrol dowodzić.

Obozy nasze prawie się z sobą stykały, wyleciałem z komenderówką gdyby szalony wprost do moich, i dałem sobie słowo skorzystać z okoliczności. W bitwie jeszcze żadnej nie był, chciało mi się jój nad wszelki wyraz... nudziło mnie już to patrzanie na Austryaków...

Więc konia siodłać, zbroję się i ludzi wzięwszy, za obóz wyjeżdżamy; tu kazałem im stanąć, a byli prawie sami Polacy i przyjaciele moi.

— Słuchajcie ichmoście, rzeknę, za ten patrol, któremu kazano stać i patrzeć, ja odpowiadam jako dowodzący... dla was z przestąpienia rozkazów niema żadnego niebezpieczeństwa, moja głowa za to odpowiada...

Dobylem worka z kieszeni.

— Otóż macie każdy gemejn po dukacie, sierżant po trzy dla ochoty, a musimy dziś Austryaków przydybać i z nimi się spróbować.

Na skraju obozu była karczma, w pobliżu której zastanowiliśmy się. Kazałem beczkę wytoczyć, i na humor pić im dałem ile chcieli, ale jednak tak, aby mi

się nikt z nóg nie zwałił. Pilnowali sierżanci. Kiedy już dobrze podochoćeni zostali, zawołałem na koń, sam siadłem i mówiłem do nich tak:

— Trzeba się nam czémś odznaczyć, jest tu nas garść Polaków między obcymi, żaden jeszcze nie takiego nie zrobił, czémby Prusaka przekonał, że męźniejszego żołnierza i ludzi większego serca nad nas niema na świecie. Panowie bracia! dziś albo nigdy! Musimy im pokazać czém jesteśmy... łatwo nam przebaczą, gdy im powiązanych przyprowadzimy Laudonowskich baranków... Zgoda?

— Zgoda!
— Dla sławy oręża polskiego, dodałem, naprzód! Zamruczało kilku, ale słuchać musieli... noc spiesznie nadchodziła i my pociągnęliśmy ku linii patrolów... Kapral dostał języka zaraz, że trzechset Austryaków najspokojniej sobie w pobliżkiej na stronie karczmi rozłożyli się, nawet bez placówek. Nie mogłem tego zrozumieć, czémby się tak mało nas lękali, ale okoliczność zdawała się jedyna. Na nie szczęście nic o tém nie wiedziałem, że między armiami naszymi tegoż ranka kilkodzienny zawarty był rozejm...

Na miejscu wyznaczonem do placówki zostawiwszy tych co iść nie chcieli na wyprawę za mną, sam w sześćdziesięciu ludzi posunąłem się ku karczmi, którą światło nas prowadziło. Zbliżyliśmy się w ciłości największej, rozstawiłem strażę w około, objąłem karcznię, opasałem ją, opanowałem najprzód bez wystrzału konie, które w zagrodzie stały nieco opodal, a potem z krzykiem na dany znak mój rzuciliśmy się na gospodę...

Myślałem że do żwawej przyjdzie utarczki, bo austriackich było cztery razy tyle co nas. Huknęliśmy więc, dając po raz drugi ognia. Harmider się wszczął wielki; z rzadka tam wystrzelili do nas, ale bez szkody. Wypadli, ale żeśmy ich ze wszech stron objęli, musieli się poddać prawie bez oporu. Nuż ich tedy wiązać jak baranów, a ja, szczęśliwy jak nigdy, obliczwszy się postrzegłem, że ich trzechset ułowił. Wytoczyłem co tylko było w karczmi dla swoich ludzi, i skoro świt do obozu ze zdobyczą, wyobrażając sobie, że heroicznego dzieła dokonał, które mnie u króla sławę i estymacyę nielada wyjedna...

Żem się w tej wyprawie dobrze zaszargał i obłocił, poszedłem się przebrać do mojej kwatery, chcąc zaraz zameldować zdobycz generałowi Małachowskiemu. Wskok to odbyłem, i już lecę do jego namiotu, gdy widzę że mnie austriacki parlamentarz poprzedza. Wpuszczono go naprzód, zabawił chwilę. Ja stoję aż mi się w piersi gotuje, żeby się pochwalić... a tu ledwie się Austryaka pozbył, Małachowski wypada na mnie, rwąc włosy na głowie.

— Toś to W Pan tego nieszczęścia sprawcą?
— Jakiego nieszczęścia? panie generale... przyprowadzam trzechset Austryaków wziętych przezemnie w niewolę.

— A bodajby cię byli diabli wprzód wzięli, szaleńcze, waryacie, — w wojsku nie heroizmu, ale posłuszeństwa potrzeba przedewszystkiem... Kto ci każeł napadać, bić się i rozejmu nie szanując, awanturę robić?

— Ale ja nic nie wiedziałem o rozejmie!
— Do aresztu! pod wartę! krzyknął Małachowski, pod sąd wojenny! Tylko co odszedł oficer od Laudona, skarżący się na złamane prawo narodów i nieposzanowanie rozejmu. I tak już wojsko pruskie złą famę używa. Zbzechcecie nas w oczach nieprzyjaciół! Co król powie? co król powie?

Po desperacji Małachowskiego zmiarkowałem, jakim głupstwem zrobił, ale na to nie było rady.

Trzeba wiedzieć, że rozejm ten, niełatwo było wyjednać, a król pruski wszelkich praw wojskowych ścisłym był postrzegaczem; zrobiło się więc z tego, że com z Warszawy uciekł od sprawy gardłowej, tom znowu w niebezpieczeństwo życia najnie spodziewaniej popadł. Małachowski natychmiast kazał mnie aresztować, i po minach otaczających i ze słów ich zmiarkować było łatwo, że sąd wojenny żartować nie będzie. U nas w Polsce szlachcicowi łatwiej się było zawsze wykroczyć, to protekcyą, to pieniędzmi, to łaską, to układem, ale w pruskiem wojsku srogość była niezmierna, i król dowiedziawszy się o zgwałceniu rozejmu, przysiągł, że nie daruje winowajcy, który wojsko jego jak garść awanrutników, nieznających porządku i ładu skompromitował.

Wzięto mnie pod wartę ostrą; nie było sposobu my-

śleć o ucieczce nawet, a w godzin dwie stawiono przed sądem. Ani wiem com tam gadał i jakim się tłumaczył, bo wśród tych nocnych i dziennych wypadków i najmniej spodziewanego końca zupełnie stracił, pierwszy raz w życiu, przytomność.

Miałem przy sobie ciągle starego unteroficera, Sandomierzanina Wołkowskiego, ciurę i pijaka, ale poczciwego serca człowieka, który się do mnie był niezmiernie przywiązał.

Pod noc, kiedy siedząc medytuję nad marnościami rzeczy ludzkich, wchodzi Wołkowski, ale jakby go z krzyża zdjęto, napłył widocznie i cały we łzach.

— A co, panie poruczniku... kiepsko.
— Cóż się tam dzieje? zawołałem.
— Nic, tylko pana słyszę powiesić mają w środku obozu i już szubienicę stawić kazali. Skoczyłem wściekły.

— Rozstrzelają chyba! zawrzałem.
— Gdybyż choć tak... ale mówią że król gniewa się i na szubienicę skazał... przypadłem do pana po dyspozycyę... Sulmierzycki powiada, że pan jeszcze dosyć masz pieniędzy... te Prusaki gotowi zabrać. Każ pan nam Polakom je rozdać... wiernieśmy panu służyli, a teraz przez niego będę cierpić...

Plakał, łzy rękawem ocierał i do kolan mi się kłaniał. Przekonany jestem, że miał do mnie przywiązanie, ale jako żołnierz życia nie cenil bardzo, i już się obywszy z tą myślą że mnie powieszą, żałował tylko mojego grosza, żeby go Prusacy nie przywłaszczyli.

— Czyż mnie generał Małachowski nie potrafi obronić? zawołałem do Wołkowskiego... to być nie może... Cóżem zresztą tak straszno zrobił? Trzebaż mi było powiedzieć o rozejmie, kaduk ich tam wiedział... a żołnierzowi zawsze siekaniny się zachce... Powinni byli przestrzedz...

— Komenda była stać na patrolu i nic więcej.
— U tych diabłów wszystko po komendzie, a nie po sercu... Ale zjedzą licha, żebym im się dał powiesić. Wziąłem parę pistoletów do kieszeni i siadłem.

— A tłumoczek, panie poruczniku? pyta płacząc Wołkowski.

Ażem go połajac musiał żeby się pozbyć. Mnie chodziło o życie, a temu o dukaty moje, bo już mnie miał za skazanego bezpowrotnie na tamten świat.

Posłałem go do generała, prosząc aby się ze mną chciał widzieć. Sam nie wiedziałem co począć; pojęcie niebezpieczeństwa powoli mnie przejmowało, i jakoś na przemiany to wściekłość ogarniała, to żal niewymowny życia, które marnie dla popisu utracić miałem.

W dodatku ta sromotna szubienica, którą widziałem przed sobą, dreszczem mnie przejmowała. Chodziłem jak obłąkany, ale już nic nie mając do stracenia, postanowiłem drogo sprzedać życie i bronić się do upadłego.

(Dokończenie w następnym numerze.)

WYSTAWA ROLNICZA W ŁOWICZU.

Przed dwoma tygodniami zamkniętą została w Łowiczu druga z kolei w naszym kraju wystawa rolnicza, odbyta w czasie trwania walnego jarmarku Mateuszowego, której akt nadawczy jest niemal równoczesny z zawiązkiem towarzystwa rolniczego. Powitaną ona była przez cały kraj jako dawno przeczuwana potrzeba, i od pierwszej chwili swego istnienia sympatyczne zdobyła sobie stanowisko. Szczęśliwie obrany czas i miejsce, hojne uposażenie w środki zachęty, czynny wreszcie w niej udział towarzystwa rolniczego, uczyniły odrazu wystawę łowicką instytucyą krajową i wkładają na nas obowiązek treściwego zdania sprawy z tegorocznej reprezentacyi prac i usiłowań naszego rolnictwa.

Z radośnym przekonaniem wyznać możemy, że tegoroczna wystawa łowicka, w porównaniu z rokiem ubiegłym, jest ważnym postępem, wielkim krokiem naprzód. Ogólna liczba okazów prawie się podwoiła, a liczna i świetna reprezentacya płodów i wyrobów rolniczych odległych kraju okolic świadczy, że myśl użyteczna wystaw rolniczych przenika i w dalekie zakątki, słowem że wystawa rolnicza zdobyła sobie drogę do popularności.

W poniedziałek dnia 19 września, po solennym nabożeństwie w kollegiacie łowickiej, odbyło się uro-

zyste otwarcie. Trzy bramy tryumfalne, w napisy, wieńce i trofea przystrojone, wiodły do trzech oddziałów wystawy: w gmachu ks. misyjonarzy mieścił się oddział płodów rolniczych i przemysłu wiejskiego, w ratuszu, oddział machin i narzędzi rolniczych, zaś w ogrodzie Koisiewicza wystawa bydła i koni.

Wchodząc do gmachu misyjonarzy, w korytarzu dolnym, na prawo i na lewo mieściły się płody zbożowe. Kolej otwierała pszenica, stanowiąca czoło naszej produkcji rolniczej. Odznaczały się tu szczególniejszy okaz nadesłane przez Wacława Popiela z Turny w powiecie siedleckim, Mikołaja Halperta ze Strug, Ferdynanda Grabkowskiego z Rdzuchowa, Ignacego Zaborowskiego z Zalesia. Z pośród 20 gatunków żyta celowały okazy: z Osin Kiernozskich Mikołaja Epsteinna i z Dąbrowy Antoniego Szańkowskiego. Najpiękniejsze jęczmiony nadesłali: Ludwik Niemojewski z Radoszewic, Aleksander Ostrowski z Maluszyna. Chwalono powszechnie owies z folwarku Łyszkowice, z dóbr Łobaczewa w powiecie białskim i hr. Lanckorońskiego z Motkowic w Kieleckim. Odznaczał się groch Adama Byszewskiego z Waliszewa i Małkowskiego z Giżyc, rzepak Kurnatowskiego z Brudzewa i Michała Nałęcz z Zembowa; gryka ze Stokwisk w Tykocińskim, z dóbr Świerze w Krasnostawskim, oraz gryka szwedzka.

Ciekawą i bardzo liczną była reprezentacya ziemniaków. Ogrodnik instytutu szlacheckiego przedstawił 96 odmian, Aleksander Ostrowski z Maluszyna 21, Sygietyński z Boguryi 40 odmian. Najmączystsze po rozbiórce chemicznym okazały się ziemniaki z dóbr Mierzanowic w Sandomierskim. Tyle ważne rośliny pastewne słabo były reprezentowane.

Natomiast sala poświęcona wystawie ogrodnictwa, leśnictwa i pszczelnictwa najbogatszą była w śliczny strój kwiatów, owoców i zieleni: Wilanów, Nieborów, Bogurya i ogrody łowickie składały się na ten piękny zbiór. Ubranie sali korzystne dawało świadectwo o guście i zdolności p. Barczyńskiego, ogrodnika niedługo w Homlu, teraz w Łowiczu zamieszkałego. Ule Dolinowskiego z Hańska i Kühna z Soboty, jak niemiędlipiec z powiatu maryampolskiego zwracały uwagę.

Oddzielna sala mieściła wyroby przemysłu wiejskiego. Przedewszystkiem zwracało się oko na liczną bardzo reprezentacyę wełnianych i lnianych wyrobów włóściańskich. Pierwszeństwo trzymały wyroby włóścianek z gubernii augustowskiej; po nich zaszczytne miejsce zajmowały wyroby włóścianek z księstwa łowickiego. Na wyroby te, dla zachęty, przeznaczono przeszło 50 nagród pieniężnych. Za całość zaś okazów z gubernii augustowskiej nadesłanych, oraz w ocenieniu zasług około płóciennictwa krajowego w ogóle położonych, przyznany został medal złoty rządowy Karolowi Dombrowiczowi, właścicielowi dóbr Dobrowola w powiecie maryampolskim. Przemysł lniany, tak ważny, tak rodzimy, tak piękną w kraju naszym mający za sobą przeszłość, znowu nam przypomniął, czémby mógł zostać, gdybyśmy się szczerze ku niemu zwrócili, choćby z uszczerbkiem jakiej nowo aklimatyzowanej gałęzi przemysłu. Więc też z prawdziwym współczuciem śledziliśmy zajęcie, jakie włóściańskie nasze płótna budziły, i tę poczciwą dumę, to zadowolenie z jakim tłumy pracowitego ludu oglądały na wystawie wyroby własnej pracy i staranności.

Opuszczając tę salę, nie możemy jeszcze pominąć wzmianki o serach z fabryki Traki, Jadowa i Piotrowic, o wyrobach z ogniotrwałej gliny z fabryki Żareckiej, o ciekawych okazach mąki i kasz z Konar i Chodakowa i t. d.

Po za dziedzińcem ratuszowym, w ogrodzie lekko staczającym się ku Bzurze, pomieszczono wystawę machin i narzędzi rolniczych, bez zaprzeczenia najpiękniejszy oddział tegorocznej wystawy. Ustalonego imienia fabryka Ewansa, Lilpopa i Rau stanęła na czele; nie szcędząc kosztów i trudów, przedstawiła 80 sztuk narzędzi, a pod oddzielnie urządzone wystawą, machina parowa nadawała ruch młockarni, młynkowi i słodownikowi. Dwa medale były nagrodą tej staranności. Z krajowych fabrykantów wystąpili nadto: Zakrzewski z wagami dziesiętnymi, Rolbiecki z sieczkarnią, młody Kotkowski z Bódzechowa z machinką parową własnego wyrobu, bednarz Augspach z Tomaszowa z okseftem wyborniej roboty. Liczna i świetna była reprezentacya fabryk zagranicznych. H. Cegielski z Poznania, tak dobrze zasłużony zeszłorocznej wy-

stawie w r. b. nadesłał 40 narzędzi i machin. Powszechne uznanie spotkały pługi Gołaszewskiego z Targowisk w Galicyi i Konopki z Mogilan. Pługi tych dwóch wystawców najszybciej rozwiązały na konkursie stawione od towarzystwa rolniczego zadania i otrzymały srebrne medale. Pługi galicyjskie, przy całej praktyczności, brały jeszcze górę nad tutejszo-krajowymi przystępniejszą nie-równie ceną.

Najslabszą stroną tegoroczną wystawy łowickiej stanowił inwentarz. Gdyby nie myśl, że była ta tylko reprezentacja małego promienia okolicy łowickiej, musielibyśmy smutnie unieść wyobrażenie o naszym bogactwie w bydło i konie. Wspomnieć tylko należy z chlubą okazy bydła żuławskiego Feliksa Wołowskiego z Ossuchowa, prześliczną parę wołów czerwonych Bartłomieja Ogrodowczyka, zwanego Sewerynem z Podkrajewa w Mławskim, owce elektoralne Ludwika hr. Krasieńskiego z Krasnego, skopy pani Tomickiej z Kozuszek, zbiór okazów drobiu hr. Augustowej Potockiej, oraz konie Adama hr. Krasieńskiego, Ferd. Grabkowskiego, Ludwika Rossmanna, Aleks. Zaborowskiego i Meisnera z Borówka.

We środę dnia 21 września po południu odbył się przy odgłosie muzyki tryumfalny pochód nagrodzonego na wystawie i wieńcami ozdobionego bydła. Poprzedził go orszak nagrodzonych włościan i chorągwie niosących. Sympatyczny i prawdziwie uroczy widok przedstawiał ten pochód, symbolizujący cześć dla pracy i zabiegłości rolnika.

Nie jesteśmy zbyt żarliwymi zwolennikami wyścigów konnych w dotychczasowym ich w kraju naszym kierunku. Nie pojmujemy dostatecznie zbawionego wpływu angielskich wyścigowych vollblutów na poprawę rasy koni krajowych, ale właśnie dlatego chwalić musimy kierunek wyścigów łowickich, które tor swój wyłącznie otworzyły dla rasy wschodniej, odgrywającej tak przeważną rolę w sławnym naszym chowie koni z ubiegłych lat.

Tegoroczne wyścigi dla koni krwi czystej bardzo bogato uposażone były w nagrody.

Puchar i szpicruta, których rysunki tu załączamy, ofiarowane były jako nagrody, pierwszy przez Lud. hr. Krasieńskiego, druga przez Wład. Cieleckiego, a wykonane zostały ze złota, z artystycznym wykończeniem, w zaszczytnie znanym w kraju naszym zakładzie jubilerskim pod firmą dawniej Stefana Nejbaur, obecnie Józefa Wejnerta, podług rysunku oryginalnego jednego z naszych artystów. Ze czterech siedzących u podstawy kielicha żokejów, dwaj, ze szklankami w ręku, starają się jak się zdaje wprowadzić w lepszy humor swoich kolegów, którym los odmówił zwycięstwa. Powyżej cztery głowy koni, czapeczki, strzemiona itp., a na samym kielichu w pośród arabesków cztery medaliony w płaskorzeźbie, ze scenami wyścigowymi i dwa herby: Krasieńskich z dewizą na wstążce *Amor patriae nostra lex*, i miasta Łowicza, pelikan z rozdartą piersią, karmiący dzieci swoje. Wysokość kielicha cali jednaście, szerokość w podstawie cali pięć i pół, wartość 1200 rubli.

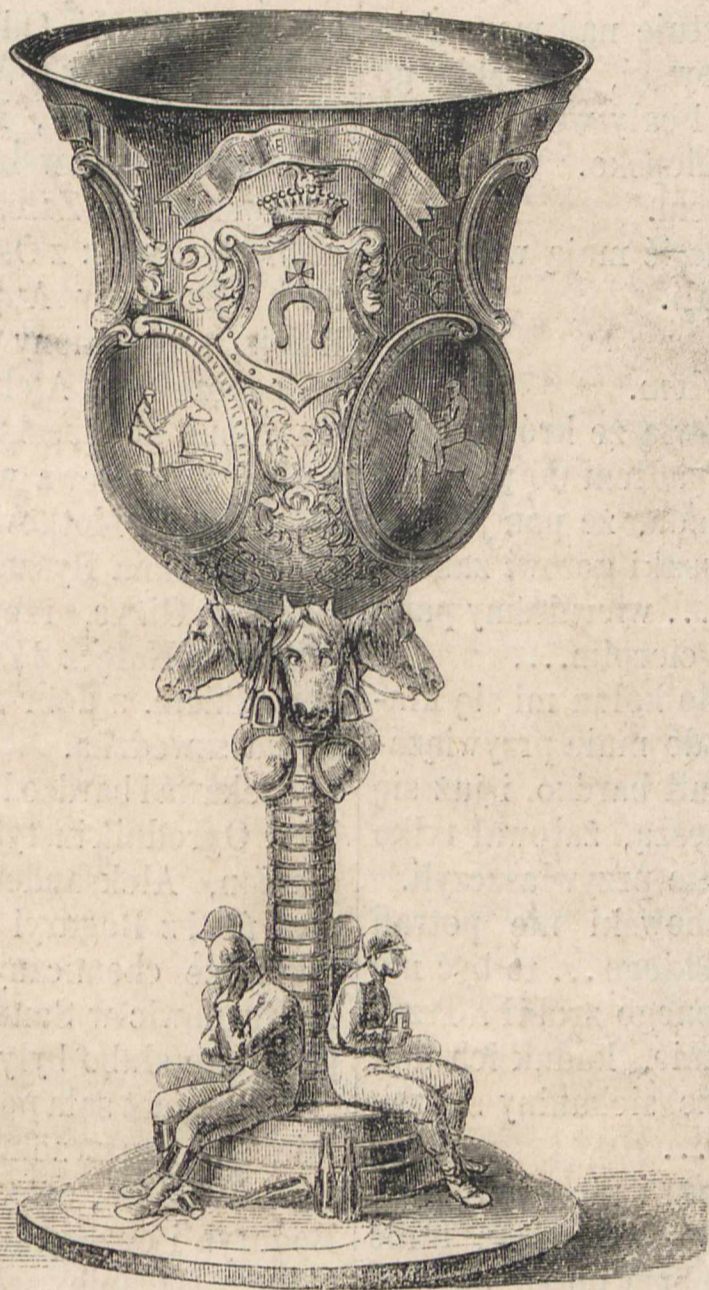
Szpicruta, także ze złota, z bardzo ładnie wyrobio-

nym koniem i rękojęcią, na której również umieszczone są dwa herby, to jest p. Wład. Cieleckiego i miasta Łowicza, wysoka cali dziewięć.

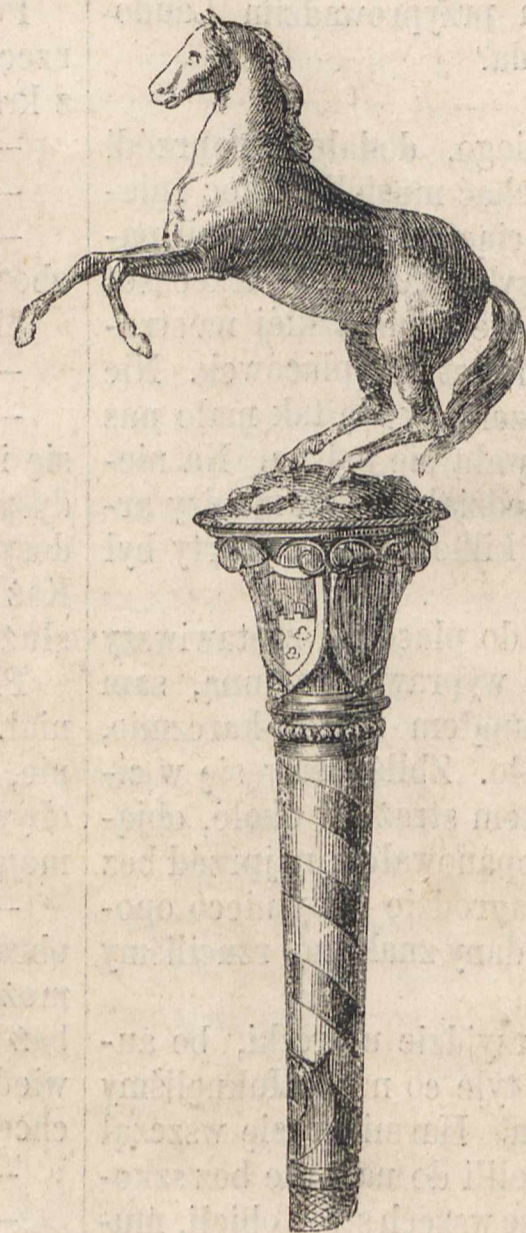
Nadto hr. Krasieński ofiarował konewkę i baryłkę srebrną, a mieszkańcy Łowicza z dobrowolnych składek puchar srebrny. Tylko ten ostatni wygrany został przez Ludwika hr. Krasieńskiego; cztery inne zaś nagrody szczęśliwy zdobywca przez kilka lat na torze łowickim bronić jest obowiązany.

Ostatniego dnia wystawy, t. j. 23 września, odbyły się innego rodzaju wyścigi, po raz pierwszy w kraju naszym zastosowane, wyścigi bryczkowe. Rozdzielone są zdania co do użyteczności tych nowych wyścigów: jedni widzą w nich tylko zabawę, inni wiele bardzo spodziewają się po trafnym i umiejętnym ich pokierowaniu, zwłaszcza jeśli zastosowane będą do próby siły pociągowej roboczego inwentarza. W tym roku mieliśmy dwa wyścigi koni fornalskich i trzy wyścigi koni włościańskich.

Nader zajmującym ustępem tegorocznej wystawy był konkurs oraczów. Ze sztorocznym doświadczeniem wsparci sędziowie, w praktyczniejszy sposób urządzili konkurs. Zwycięstwo w tych próbach odniósł włościanin Jędrzej Cichy z Rybia, któremu przyznany został medal srebrny i kwota rubli srebr. 20; następujący po nim otrzymali pieniężne nagrody. Dla ożywienia tych konkursów i nadania im ogólniejszej powagi, wielce pożądanymby było, aby stawali do niego celujący oracze ze wszystkich okolic kraju, przy próbach okręgowych przez delegacje towarzystwa rol-



PUHAR ZŁOTY OFIAROWANY JAKO NAGRODA ZA WYŚCIGI ŁOWICKIE PRZEZ LUDWIKA HR. KRASIŃSKIEGO.



SZPICRUTA ZŁOTA OFIAROWANA NA TEŻ WYŚCIGI PRZEZ P. WŁ. CIELECKIEGO.



WYŚCIGI BRYCZKOWE W ŁOWICZU.



KONKURS ORACZÓW W ŁOWICZU.

niczego wypróbowani. Jestto bez wątpienia jeden z najciekawszych konkursów, uczniający pracę rolnika; ze szczerem też rozrównieniem patrzyliśmy na zajęcie i emulacya jakże w oraczach współzawodnictwo to obudzało.

Rozdanie nagród było ostatnim rozdziałem w programacie tegorocznej wystawy; rozdział ten w całej obszerności najdokładniej powtórzyły już wszystkie dzienniki.

My zakończamy króciuchny nasz zarys radosnym

uznaniem, że tegoroczna wystawa rolnicza powiodła się najzupełniej, że obudziła już zajęcie w odległych kraju okolicach, że przez związanie się z towarzystwem rolniczym najbawienniej wpłynęła na ożywienie nową krwią tak niegdyś hulaszczyc jarmarków łowic-



ROZDANIE NAGRÓD PRZEZ KOMITET WYSTAWY W ŁOWICZU

kich, — słowem że już staje się prawdziwie narodową dla rolniczego kraju uroczystością.

Czy zaś stałe pozostawienie wystawy rolniczej w Łowiczu dogadzać będzie widokom i potrzebie rolnictwa, czyli też odbywanie jej kolejnie w innych także kraju okolicach da jej więcej różnorodności, bogactwa, żywotności i wpływu — to już bliska przyszłość okaże.

KONSTANTY ŚWIDZIŃSKI.

(Dokończenie).

We wrześniu 1833 r. powrócił do królestwa, ale już nie zatrzymując się dłużej w Warszawie, prosto ruszył na Ukrainę. Zamieszkał w Motyżynie u powinowatego swego Szymanowskiego, marszałka powiatowego kijowskiego, i tutaj był tak szczęśliwy, że wygrał przeciw ów macierzysty majątek, o którego posiadanie od lat już kilkunastu rozpoczął przewód prawny. W r. 1834 Chodorkowszczyznę całą mu zwrócono i odtąd stale już osiadł na Ukrainie; raz go tylko widział Sulgostów w roku 1837. Na książki sprzedawał majątek i zamieszkał wtedy w Paszkówce u Wacława Rulikowskiego w powiecie kijowskim, z którego domem zostawał w bliskich stosunkach rodzinnych. W Paszkówce przez lat 7 była stała siedziba bibliopola i główny skład jego książek; z Paszkówki bardzo często zaglądał do Kijowa, gdzie mógł z literatami zawierać stosunki i łatwiej kupować skarby piśmiennictwa starożytnego. Przyszyczał się do brzegów Dniepru, do kopuń i wieżyc kijowskich; w tych stronach znalazł drugą ziemską ojczyznę, do nadwiślańskiej już nie tęsknił. Świdziński poznał zasoby umysłowe miasta i prowincyi, interesował się niemi i nie był bez wpływu na ruch literacki; z tego nawet względu stał się nierozdzieloną częścią miejscowego duchowego żywota. Wówczas to weszli z nim w ściślejsze stosunki: ks. Hołowiński, Michał Grabowski, Henryk Rzewuski, Tytus Szczęniowski, Gustaw Olizar, Józef Kraszewski, Tomasz Potocki, German Hołowiński, Henryk Lubomirski i inni.

Była chwila nawet, że chciał się poświęcić literaturze, nietylko samemu zbieraniu. Gdy ks. Hołowiński utworzył plan wydania ojców kościoła po polsku, Świdziński wziął na siebie pracę przełożenia kazań św. Cyprjana, z pedanteryjną pretensją starając się o czystość języka, o piękną polszczyznę. Nie w tym jednakże tłumaczeniu miała być jego zasługa dla literatury, ale w notatach bibliograficznych, ale w spostrzeżeniach które na papier rzucał o przeczytanych przez siebie rzadkich książkach polskich, ale w owym spisywaniu śledztw (najtrafniejszy to wyraz), które Świdziński ściągał z ludzi co wiele widzieli i słyszeli o rzeczach dawniejszych. Notaty te, spostrzeżenia i poglądy wypełniały świat jaki sobie Świdziński stworzył. Wszystko co było stare, co pleśnią wieków wyszlachetniało, wszystko to nabywał: książki, monety, obrazy. Ztąd bardzo popularną postacią był w Kijowie. Zbliżył się do mnichów, do malarzy obrazów świętych czyli ikonopisów i do rzeźbiarzy na cyprysie, do przekupniów starożytności, do wszystkich oryginałów kijowskich, co jaką taką osobliwość mieli do zbycia, a niektórym z nich stawał się patronem, opiekunem i przyjacielem. Kiedy bawił w Kijowie, mieszkanie jego bywało jakby w oblężeniu. Uczynny, wylany, skupiał w sobie całe życie umysłowe prowincyi. Zbierał prenumeraty, sprzedawał obrazy; w stronach kijowskich on głównie popierał wydawanie Album Wileńskiego, i pod tym względem bardzo był wymagającym.

A pamięć miał niezmierną, a uwagę wszystkich i wszystkich obejmującą. Od czasu kiedy powstała w Kijowie kommissya archeograficzna dla poszukiwań uczonych, Świdziński służył jej bogatymi materiałami swojemi, bo rzeczywiście nauce i literaturze mógł służyć tylko wydawnictwem. Za jedyny warunek współudziału swego w tym przedsięwzięciu naukowym położył to, żeby mu odbijano osobno tekst polski materiałów, które się głównie tą razą składały z listów osób historycznych w czasie wojen Chmielnickiego o bitwach staczanych na Ukrainie. Myślał też za pośrednictwem kommissyi kijowskiej drukować akta dyplomatyczne dotyczące się stosunków Polski z Rosyją. Pierwszego dzieła tekst widzieliśmy w odbitkach polskich, drugiego nie widzieliśmy wcale; w handlu nawet podobno pierwszego nie było. O ważności listów już

wydanych pisaliśmy obszerniej w „Bibliotece Warszawskiej“, w numerze czerwcowym za rok 1855.

Ciekawy niezmiernie będzie, jak dla nas Polaków, sąd jednego z mańruskich pisarzy o Świdzińskim. Polska kiedyś z Ukrainą mordercze staczała boje, dzisiaj godzi się jedna z drugą na polu naukowym. Zeznania następne o Świdzińskim, które tak dobrze dopełniają jego ledwie tu naszkicowaną biografią, bierzemy z Kulisza, słynnego dzisiaj zbieracza podań Ukrainy i badacza jej dziejów. Wydrukował je po rosyjsku w jednym z pism peryodycznych.

„Znałem osobiście, mówi p. Kulisz, zmarłego Świdzińskiego, i nieraz korzystałem z jego ksiąg i rękopisów. Zapoznał nas z sobą jeszcze w roku 1843 p. Michał Grabowski, znakomity krytyk polski. Poglądy nasze na dawne dzieje Rusi i Polski były wbrew sobie przeciwne, chętnie jednakże słuchaliśmy siebie nawzajem, gdyż każdy z nas szczerze przywiązywał się do swojej sprawy. Świdziński dalekim był od egoizmu, jak większa część poświęcających się nauce. Ogrom prac jego i wielkość przywiązania do kraju pokazały mi się dopiero po śmierci. Ztąd nie obrażał się przeciwnym zdaniem młodego człowieka, jakim ja byłem wtenczas, lecz owszem, odkrywając pomniki przeszłości, starał się uczynić mi zrozumiałemi zjawiska historyczne. Kiedy sobie przypomnę, jak po dziecinnemu zapatrywałem się wtedy na wiele rzeczy dziejów kraju rusko-polskiego, wierząc na słowo naszym ksiądzom, nie mogę się dość wydziwić uprzejmości, jaką dla mnie okazywał głęboki erudyta polski. Mieszkając samotnie, cały oddany swoim zatrudnieniom, często zapraszał mnie do siebie na obiad sam na sam i był ze mną rozmowny, cierpliw jak niańka. Tém więc to uderzało, że ówczesni profesorowie uniwersytetu kijowskiego w stosunkach ze mną zachowywali dumę odpychającą, i ze szczytu swojej uczoności zaledwie zaszczycali mnie kilką słowami. Namiętny zbieracz pieśni i podań narodowych, po wuczeniu się, mogę to śmiało powiedzieć, na pamięć lepszych latopisów południowo-ruskich, byłem zupełnie obcym dla takich ludzi, jak zmarli: Niewolin, Dąbrowski, Kostyr, a ziomkiem dla ludzi różnych wiarą i pochodzeniem, z którymi nieustannie sprzechałem się i ustnie i w druku.

Raz wyjeżdżając z Kijowa na wędrowkę po chatach, obiecałem Świdzińskiemu odwiedzić go w jego wsi Chodorkowie, w powiecie skwirskim. Nie zastałem wprawdzie gospodarza w domu, ale doręczono mi paczkę z kluczem od jego biblioteki i dano na usługi powóz, konie i ludzi do wyjazdów w okolice i czynienia poszukiwań w starych kurhanach. Dom stał pośrodku ogrodu zasianego olbrzymiemi georginiami, barw rozmaitych. Nieboszczyk bardzo lubił te kwiaty i pielęgnował je ze szczególną starannością. Za tym ogrodem rozciągał się stary lipowy gaik, a z drugiej strony odkrywał się prześliczny widok na wioskę, z drewnianym kościołem i opuszczonym klasztorem katolickim. Siedm dni spędzonych w tém czarującym ustroniu nigdy nie wyjdzie z mojej pamięci. Nareszcie przyjechał Świdziński z Kijowa; narozmawialiśmy się z sobą do sytu, wiodąc spory o swoich narodowościach.

Godzi się tu napomknąć, że Świdzińskiego nazywano zwykle hrabią, ze względu na jego starożytne pochodzenie arystokratyczne i niegdyś związki pokrewieństwa z rodziną królewską. Świdziński też występował jako arystokrata, tak co do pochodzenia, jak i sposobu myślenia; lecz te zasady nie tłumili w nim współczucia dla czysto ludowego objawu w życiu literackim, ilekroć takowy pochodził z chęci podania do powszechnej wiadomości tego co jest, albo co było. Pewnego razu zdarzyło mu się być w gronie Małorosyan, którzy robili składki na wydanie dawniejszych i nowych utworów swego poety ludowego; prosił nas wtedy Świdziński, żeby i jemu było wolno uczestniczyć w składce.

Dług wdzięczności skłania mnie do wydarzenia zapomnieniu jednego jeszcze rzetelnego wypadku, przynoszącego zaszczyt narodowości polskiej. Zmarły Świdziński widział się parę razy z p. Kostomarovem, głównym teraz historykiem Małorosyi, i za każdym razem prowadzili dysputę o Polakach, których Kostomarów nazywał *samowolnemi panami*, i o Kozakach, których Świdziński lżył wyrazem *chłopi*. Trzeba tu zauważyć, że ten ostatni wynurzał swoje zdanie zapałem dochodzącym do uniesienia, a kiedy mówił o pretensjach Kozaków do praw równych z magnata-

mi, wszystka krew rzucała mu się do twarzy, dumnie podnosił głowę i jak gdyby to do niego zwracali się Kozacy ze swemi pretensjami, wołał: „Chłopi jesteście! jak można wam nadać prawa szlacheckie?“ Było to wymawiane z taką naiwną otwartością, że nikt z nas nie czuł się obrażonym. Ale nie o torzec idzie. Po kilku latach, skoro się Świdziński dowiedział że Kostomarów pisze w Saratowie historią wojen polsko-ukraińskich, ofiarował się dobrowolnie, że mu przysłać będzie księgi i rękopisma ze swojej biblioteki, jakich tylko zażąda. Postępek istotnie wspaniałomyślny i tłumaczy tę okoliczność, z kąd Kostomarów zdobył takie mnóstwo bogatych źródeł do swego dzieła, pierwszego dotąd co do wartości w piśmiennictwie rosyjskiem. W przeciągu kilku lat historyk nasz dostawał od arystokraty polskiego paki za pakami, i dopiero po jego śmierci zwrócił spadkobiercy najrzadsze unikatki dawnych broszur i niektóre rękopisy. Komu wiadomo jak drogiemi są dla bibliomana rzadkie książki, kto miał do czynienia z antykwaryuszami, którzy drżą jak skąpcy nad swemi skarbami, ten zrozumie całą wielkość przywiązania Świdzińskiego do nauki i całą szlachetność jego duszy.

Świdziński był starym kawalerem i możnaby sądzić że w sercu jego, oprócz patriotycznych, nie było żadnych innych uczuć. Tymczasem szczerze był przywiązany do swoich przyjaciół i niedługo przed śmiercią, goszcząc u jednego z nich, tak pokochał dwoje jego dzieciaków, że kiedy je wkrótce zabrała cholera, płakał tyle, aż dostał krwotoku w nosie. Zaczął schnąć coraz bardziej, i nakoniec lekarze oświadczyli, że utrata krwi przyprawiła go o nieuleczoną chorobę.

Na kilka dni przed jego śmiercią przyjechałem do Kijowa. Chory dowiedział się o tém i chciał się ze mną zobaczyć. Odwiedziłem go i uderzył mnie wtedy widok niezwykły i bolesny. Świdziński chudy, bledy, prawie umarły, leżał na łóżku pośród wielkiego pokoju, a około niego na stołach i krzesłach rozrzucone były stosy ksiąg, pergaminy z wiszącymi pieczęciami, stare obrazy, rytownicze tablice, medale, starożytne krzyże i mnóstwo rzeczy już niezdatnych do użytku ludzi żyjących.

Nabytki te porobione już były przez niego na śmiertelnej pościeli, a rozpatrywanie ich przynosiło mu jedyną, przynajmniej największą pociechę. Lubił ażeby łoże jego otaczali krewni i przyjaciele, rozmawiając o rzeczach powszednich. Sam do rozmowy nie należał i zdawało się że nie słyszy i nie widzi; lecz gdy o słuch jego potrafiły takie wyrazy jak *obraz*, *medal*, *rękopis* i t. p., natychmiast dowiadywał się co to za rzecz, czy ją można widzieć, czy nie można nabyć, a wszyscy wtedy podziwiali przytomność jego i pamięć. Cała różnica pomiędzy Świdzińskim chorym i zdrowym zależała na tém, że chory stał się nierównie hojniejszym i jakby niedbającym wcale o pieniądze; mnie wszakże najwięcej uderzało jego przywiązanie do wszystkiego co małorosyjskie. Gdziekolwiek w Kijowie znalezione obrazy, ryciny, albo szkice z małorosyjskich dziejów i bytu, zewsząd przynoszono do Świdzińskiego, i umierający miłośnik starożytności zroskoszą przyglądał się każdemu rysowi, wiernie oddanemu przez artystę.

Ujrawszy mnie, Świdziński wyciągnął osłabioną rękę i przez ściśnienie chciał wyrazić to, czego nie mógł wysłowić ustami. Przemówił wprawdzie do mnie, ale to było tylko zapytanie, czy nie mam jakiej małorosyjskiej starożytności, albo rysunku swojej roboty, z dodatkiem zaraz, że mnie zapłaci ile będę chciał. Zrzekając się zapłaty, obiecałem darować, co tylko u siebie na wsi znajdę ze starych rzeczy i swoich rysunków. Więcej nie rozmawialiśmy. Kiedym wyszedł, wysłał za mną swego sekretarza, który mi powtórzył prośbę i zaręczał że *hrabia za wszystko zapłaci*.

Nazajutrz oznajmiono mi że umierający prosił mnie ażeby mu przeczytać dumę o morskiej wyprawie księcia poganina do ziemi chrześcijańskiej. Ktoś mu powiedział wieczorem o tém ważnym odkryciu i całą noc majaczył o tém, żeby mu ją przeczytał. Nietylko że spełniłem jego życzenie, ale nadto darowałem mu drukowaną odbitkę dumy. Miło mi wspomnieć o tém, gdyż mój podarunek stanowił dla niego jedną z ostatnich przyjemności. Umarł w półtoręj doby, dnia 29 listopada 1855 roku.

Julian Bartoszewicz.

SPRAWOZDANIE

Z POSTĘPU NAUK PRZYRODZONYCH, PRZEMYSŁU

I WYNAŁAZKÓW.

W pośród ogólnego posuwania się naprzód całej ludzkości, w pośród niezmiernego wzrostu potrzeb i wymagań cywilizacji, a ztąd dążności do korzystnego spożytkowania wszelkiego rodzaju skarbów przyrody, nie tak olbrzymim nie postępuje krokiem, jak nauki przyrodzone. One to są główną pomocą człowiekowi w rolnictwie, przemyśle, sztukach i rękodzielnictwach, zaspakajających potrzeby, zapewniających wygody, aż do najwyższych szczebli zbytku; one to badania i prace ludzkie najpomyślniejszemi uwieńczają wypadkami. Nauki te, będąc niegdyś własnością małej liczby jednostek, pracą ich zwolna tylko mogły posuwać się naprzód; dziś, przystępne ogółowi w tysiącznych zastosowaniach, przy wzajemnym znoszeniu się za pośrednictwem dzieł specjalnych i pism peryodycznych im poświęconych, rozlewają się na wszystkie strony i szybko samekroczą ku coraz nowym wyżynom, przez ważne wpływając na wszystkie posiłkujące się niemi gałęzie sztuk i przemysłu.

Elektryczność, której własności przed pięćdziesiąt laty, jedynie jako zabawka w rękach ówczesnych fizyków, zdumiała mniej uczony ogół, dziś jako czarodziejski działacz przenosi myśl ludzką naokół całej kuli ziemskiej, blaskiem olśniewającej jasności ściągnęła światło księżycowej pełni, a wkrótce może wystąpi jako najpotężniejsza siła poruszająca. Kociołek Papina, niegdyś cacko w gabinetach fizycznych, w niezupełnie stu latach przerobił się w olbrzymie maszyny parowe, które przyspieszając komunikacje na lądzie i oceanie, tryumfują nad czasem i przestrzenią, i żelaznym łańcuchem kolei przeznaczone są zjednoczyć wszystkie ludy ziemskiego świata.

Błogie owoce nauk przyrodzonych tak są jawne, że nie tylko każdy oświecony człowiek powinien zapoznawać się z niemi, ale nadto winien wszelkimi siłami starać się ułatwiać ile możności ogółowi przystęp do tych niewyczerpanych skarbów. Tę misję w ostatnich czasach przyjęły na siebie prawie bez wyjątku pisma czasowe, i wszystkie, nie wyłączając nawet najpoważniejszych politycznych organów prasy, otworzyły w swoich kolumnach stałe rubryki dla przeglądów nauk ścisłych, ażeby publiczność z potocznie i przystępnie traktowanych sprawozdań zaznajamiać się mogła z ważniejszymi gałęziami tych nauk i zaciekawiać do bliższego rozpatrywania w ich szczegółach.

Zaczynając szereg podobnych krótkich sprawozdań, pragniemy dać zwięzły pogląd na postęp nowych odkryzeń, odkryć i wynalazków na tym polu od początku roku 1859.

W roku bieżącym kilkakrotnie (ostatni raz dnia 29 sierpnia), podziwiano w całej Europie cudownie piękną zorzę północną, i, dzięki telegrafom i baczny obserwacyom czynionym na głównych stacjach, przekonano się o tym, że światło to jest zjawiskiem elektrycznym; ze wszystkich bowiem stron Europy jednogodne nadeszły doniesienia, że przez cały czas trwania zorzy północnej pojawiały się na drutach telegraficznych nader silne przebiegi prądów elektrycznych, zupełnie niezawisłych od działania połączonych baterij, i to z takim natężeniem, że przez czas długi prawie wszędzie przesyłanie depeš było niemożliwem. Tym sposobem postęp nauki o elektryczności przyczynił się znamienicie do wprowadzenia na drogę ostatecznego rozwiązania jednego z najciekawszych zagadnień meteorologii.

Dzisiejszy dyrektor obserwatorium w Paryżu, Leverrier, badając pilnie ruchy *Merkurego*, doszedł z zachodzących w krążeniu tej planety zachwrażeń, że w jej okolicach krążą drobne ciała niebieskie, tego rodzaju co asteroidy pomiędzy Jowiszem i Marsem. Słowa Leverrier'a poparte są taką dokładnością rachunku, że o prawdziwie ich wątpić nie można; zachęca on astronomów, aby we wskazanej przez niego okolicy pilnie szukali, i lada chwila możemy się spodziewać odkrycia nowego, że tak powiemy, kopalni asteroid. Wyszukanie tych malutkich ciałek niebieskich, niedawno jeszcze niepodobne, dziś stanie się możliwem, przy pomocy tak olbrzymich lunet, jak 52-centymetrowy refraktor

p. Perro, i tak doskonałych teleskopów, jakie dziś możemy mieć niewielkim kosztem, dzięki szklanym zwierciadłom Foucault'a z posrebrzaną powierzchnią. Dzienniki zajmują się obecnie pierwszym podobno rzeczywiście praktycznym pomysłem zbudowania aerostatu z upodobanym kierunkiem. Ten *balon-okręt*, króremu ruch nadawać mają ludzie w nim się znajdujący, chodząc tylko w danym kierunku, z samego obliczenia, bez próby praktycznej, przedstawia nieledwie pewność powodzenia. Trudność atoli zachodzi w kosztach zbudowania, bo najmniejsza tego rodzaju maszyna będzie musiała mieć około 400 łokci długości, a 50 średnicy.

Inne dwa wynalazki okazują, jak szerokie jest pole nowych odkryć, i jak z każdej rzeczy można wyciągnąć użytek, do którego ona na pozór nie zdaje być przeznaczoną. Gdybyśmy naszym czytelnikom przedstawili belkę ze stali i blat prasowanej bawełny, pokryty werniksem, pytając do jakiego rodzaju budowli jedno i drugie mogłyby być użyte, pewnoby jednogłośnie odpowiedzieli, że bawełna, jako lekka, zapewne da się użyć na zbudowanie czółna lub szalupy, a stal zastąpi cegłę w budowie domów. Tymczasem rzecz się ma zupełnie przeciwnie, bo z warstatów Johna Laird w Barkenhead wyszły dwa okręty, biorące 170 beczek (340,000 funt.) ładunku i zbudowane całkowicie z samej stali; a za to w Południowej Ameryce z bawełny w pewny sposób prasowanej i pokrywanej nieprześlankliwym lakierem, budują całe domy.

Wspominamy jeszcze o jednym wynalazku Amerykanina Weard, to jest o sankach parowych, które na przypadek załamania się lodu pod ich ciężarem, jednym obrotem korby zmieniają się w statek parowy. Para rozwiązuje największe trudności lokomocyj, i na domiar powodzenia tej potężnej siły poruszającej, koleje żelazne, które dotąd zdawały się być typem niewruszoności, mogą być obecnie przenoszone i kładzione na każdej zwyczajnej drodze. Szażeń biejący takich kolei, to jest szyn z podkładami drewnianymi, kosztować może około 2 rsr., dwaj ludzie użyci do położenia takiej przenośnej drogi, mogą na dzień położyć około 1000 stóp, rozebranie odbywa się jeszcze prędzej, a jeden koń uciągnąć może tyle przynajmniej, ile na zwykłej drodze 10 do 12 koni.

Kronika zagraniczna.

Nic chwalebniejszego, jak zamiłowanie w swojszczyźnie, przywiązanie do swojej ziemi i swojego nieba. Pierś najlżej oddycha tém powietrzem, do którego od najmłodszych lat przywykliśmy; najsmaczniejszy chleb z ojczystego zagonu — ale nie idzie za tém, żeby wszystko co nasze koniecznie najlepszem być miało, a gdyby i najlepszem było w samej istocie, dobrze jest poznać cudze, choćby dla zrobienia porównań, choćby dlatego, aby później z głębokim przekonaniem, a nie przez próżną chlubę, powiedzieć: i my nie ostatni jesteśmy.

Tą myślą powodowani, choć pismo nasze głównie rzeczom krajowym poświęcić zamierzaliśmy, tworzymy tę szczupłą rubrykę dla rzeczy obcych, w której najtreściwiej, o ile to się da zrobić, zapisywać będziemy wszystko, co zaszło u obcych, a na co warto będzie zwrócić uwagę publiczności naszej. Znajdzie się tu po trochu miejsca i dla historii, i dla literatury, i dla sztuki, i dla ważniejszych faktów z życia społecznego, a czasem nawet i dla anegdoty ciekawej; bo nie przywdziewamy na siebie professorskiej togi, ale tę różnobarwną i różnowzorą szatę dziennikarską, na utkanie której chętnie podejmiemy i skrawkę złota, i prostą nić konopną, byle nie szych tylko. Przewszystkiemu obowiązujemy się być echem bieżącej chwili, chwytając to co trzeba jaknajwierniej, aby się nie zatarło, nie znikło bez śladu. Do niejednego faktu może nam przyjdzie powrócić później, bliżej obeznać z nim czytelników; tutaj, wierni naszemu kronikarskiemu charakterowi, zanotujemy tylko jego istnienie, na napomknieniu częstokroć przestając.

Dyplomaci zwracają dzisiaj oczy i myśli ku Zürichowi i Biarritz, inni ku Turynowi, Parmie, Modenie i Bolonii. Wśród tej gry najrozmaitszych namiętności, wśród ciągłych obaw i niepokojów, bardzo szczupłe miejsce zostało dla spokojnych zajęć. Literatura stoi dziś na drugim planie, i chociaż, jak zawsze tak

i teraz, w Paryżu, Londynie i innych główniejszych stolicach Europy nieskończenie wiele zadrukowuje się papieru, niepodobna prawie znaleźć dzieła, coby zyskało przywilej zwrócenia na się uwagi powszechnej. Wielcy poeci zamilkli i niema komu osieroconych lutni odziedziczyć. Jeden z tych synów ognia i ziemi, którego śmierć oszczędziła dotąd jeszcze, próbuje znowu dawnych sił swoich. Ale nie każdemu dano aż do końca święty ogień w piersi zachować. Wiktor Hugo odzywa się jeszcze niekiedy, ale muza nie może być sługą namiętności i osobistych uprzedzeń; wymaga ona aby jej służyło i opuszcza tego, kto poślubiwszy ją w krainie ideałów, niebiańską jej sukienkę w ziemskim błocie szarga.

Pan Perrotin zapragnął, aby Béranger mógł dostać się nawet w nieskalane ręce dziewicze i wydał „Bérangera dla rodzin“ *Béranger des familles*, wyrzucając ze swego zbioru te piosenki najpopularniejszego francuzkiego poety, które z obyczajami i moralnością niezupełnie są w zgodzie. Béranger nie na tém nie straci, czytająca zaś publiczność, a szczególnie ta połowa, którą piękną nazywać przywykliśmy, zyskać tylko może.

Ktoś powiedział, że głupstwo jednego narodu jest rozumem drugiego, i miał słusność po części; toż samo do moralności zastosować można. Tymczasem ukazało się w Paryżu świeże dzieło pod tytułem *Histoire de la morale*, którego autor, M.L.Martin, cały tom pierwszy poświęcił Chińczykom. Nie przesądzając wartości tej ciekawej nader publikacji, zastrzegamy sobie wolność obszerniejszego pomówienia o niej, za ukazaniem się tomów następnych.

Guizot, jak wiadomo, wydaje dalszy ciąg swoich pamiętników; z p. Villemain zaś wspólnie wydrukował mowy, jakie mieli na posiedzeniu akademii, przy rozdaniu nagrody Monthyon za cnotę. Mowa byłego ministra orleańskiego, jest mową prawdziwie akademicką, złożoną z peryodów zbudowanych wedle wszelkich zasad retoryki, ale bez tej iskry, która jedynie czytelnika elektrycznie wstrząsnąć zdoła, zjednać go i dla mówcy, i dla przedstawionego przezeń przedmiotu.

Za dzieło wielkiego interesu uważamy „Historię polityczną i literacką prasy francuzkiej, przez Eugeniusza Hatin“ *Histoire politique et littéraire de la presse en France*, której tom drugi wyszedł obecnie na widok publiczny w Paryżu i zawiera historię prasy przed rewolucją. Peryód ten autor dzieli na dwie części: pierwsza od 1665 do 1730 zaczyna się „Dziennikiem uczonych“ *Journal des savans*, i mieści w sobie wszystkie gazety literackie i historyczne; druga, zamykająca się w peryodzie od 1730 r. do 1789, odznacza się mianowicie ciekawą walką dziennikarstwa przeciwko duchowi filozoficznemu i literackiemu XVIII wieku; głównymi jej koryfeami są książę Desfontaines, Fréron i La Harpe. Książka p. Hatin odznacza się jasnym wykładem i głęboką znajomością przedmiotu, któremu poświęcił się z całą sumiennością erudyta, nie starając się o błyskotki powierzchowne.

P. Véra, który przed kilką laty wydał „Wstęp do logiki Hegla“ *Introduction à la logique de Hegel*, starając się swém dziełem przygotować publiczność francuzką do tej ważnej części wykładu berlińskiego mędrca, dokonał obecnie tłumaczenia samej logiki, *Logique de Hegel, traduite pour la première fois, accompagnée d'une introduction et d'un commentaire perpétuel, par M. Véra*.

Na tych bibliograficznych niemal wzmiankach o kilku książkach, które co tylko ukazały się w Paryżu, poprzestaniem obecnie, gdyż niniejszy nasz artykuł uważamy raczej za zobowiązanie się na przyszłość i zapowiedź naszych zamiarów, i za taki też tylko czytelnicy uważać go zechcą.

S K Ł P E.

Czém Jasna Góra częstochowska dla całej Polski, tém jest dla Mazowsza Matka Boska skępska, w kościele i klasztorze oo. bernardynów cudami słynąca. Liczne tłumy pielgrzymów, zwłaszcza podczas letnich odpustów, jak oddawna tak i teraz zwidzają to śliczne ustronie, pośród lasów i jezior położone. Skępe, miasteczko o sześć mil od Płocka oddalone, założone zostało na mocy przywileju Władysława Warneńczyka w roku 1445. Niegdyś własność Kościeleckich, następnie Działyńskich, od stu kilkudziesięciu lat jest

w posiadaniu starożytnej rodziny Zielińskich, i dziś należy do chlubnie znanego w naszej literaturze pana Gustawa Zielińskiego, autora „Kirgiza“ i „Stepów“. Właściwie jednak kościół Bogarodzicy nie jest w Skępem, lecz w wiosce o parę tysięcy kroków od miasteczka oddalonej, zwaną Wymyślinem, która podług wszelkiego prawdopodobieństwa już po fundacji klasztoru powstała. Podanie następny temu cudownemu miejscu daje początek.

Około drugiej połowy XV stulecia, przy drodze od miasta do Lipna wiodącej, w tym miejscu gdzie dzisiaj forteza klasztorna, nad wielkim kamieniem dziwnie naznaczonym wielą krzyżkami, zjawiało się często pastuszkom i prostemu a pobożnemu ludowi nadzwyczajne światło. Pewnego razu jednemu z nich w pośród tego światła ukazała się Najświętsza Panna i przemówiła do niego, polecając aby w tym miejscu zostali osadzeni zakonnicy, dla odprawiania służby i chwaly Bożej. Wieść o tym zdarzeniu wkrótce rozeszła się po okolicy, a nim objawioną wolę przyprowadzono do skutku, postawiono najprzód krzyż drewniany, do którego lud gromadnie zaczął się schodzić i doświadczać cudów.

Gdy się to dzieje, niejaki Jan z Pobiedziska z Wielkopolski, dotknięty ciężką chorobą, gdy gorące składał modły o uzdrowienie, zjawia mu się Matka Boska i rozkazała aby się udał w pobożną pielgrzymkę do Skępego. Wnet też był gotów do podróży, samą wiarą uzdrowiony, a udawszy się na wskazane miejsce, skoro ujrzał tylko krzyż prosty, poszedł wręcz do ówczesnego dziedzica, Mikołaja Kościeleckiego, kaszte-

lana kruszwickiego, i oświadczył mu wolę przeczystej Panny, aby na tym miejscu wystawił kościół. Usłuchał objawienia Kościelecki, i wystawiwszy w roku 1496 drewnianą świątynię na cześć Matki Boskiej, zaraz doświadczył cudu uzdrowienia własnej swej sparaliżowanej córki, która wywdzięczając się za doznaną łaskę, przyozdobiła kościółek statuetką Bogarodzicy, odkrytą i znalezioną w Poznaniu.

bokach dwa aniołki, a księżyc pod nogami. Wszystko to ze srebra, sukienka zaś i korona pozłacane. Pod względem sztuki niewiele ona pola do uwag przedstawia, wyrobiona jest bowiem w ciężkiej i zbyt mało fałdującej się kapie, która całą figurę osłaniając, twarz tylko i ręce do modlitwy złożone widocznymi czyni. Pomimo to przecież nie jest to dzieło bez wielkich zalet, a jak obraz Matki Boskiej częstochowskiej od-

znacza się wyrazem nadzwyczajnej powagi, tak statua tutejsza technie wyrazem anielskiej niewinności.

Przed stu laty, w dzień Zielonych Świątek 1755 roku, z zezwolenia papieża Benedykta XIV dopełnił koronacji tej słynącej cudami statui, ksiądz Fabian Płaskowski, biskup sufragan płocki. Ołtarz ten oddzielony jest balustradą drewnianą, za którą umieszczone są: po lewej stronie misterniej snycerskiej roboty posrebrzana katedra dla biskupa celebrującego, po prawej grobowe pomniki marmurowe, z portretami na miedzi Ignacego Antoniego Zboińskiego i jego małżonki, i z napisami. W tym samym rodzaju jak wielki, są dwa mniejsze ołtarze w presbiterium i dwa inne w nawie kościelnej, z podwójnymi obrazami na płótnie malowanymi. Wnętrza klasztorne niczem się



WIDOK KOŚCIOŁA W SKĘPEM.

Odtąd cuda zaczęły się mnożyć, a napływ pobożnych pielgrzymów z każdym rokiem wzrastał, tak iż we dwa lata po tym zdarzeniu kościółek okazał się za szczupły. Więc inny Mikołaj Kościelecki, biskup chełmiński, muruje kościół z klasztorem, sprowadza do niego oo. bernardynów, zabezpiecza dawne i robi nowe zapisy na ich utrzymanie, które to zapisy sami królowie Zygmunt August, Zygmunt III i Władysław IV osobnymi przywilejami potwierdzili.

Rzeczona budowla, w następnych wiekach kilkakrotnie przerabiana, rozszerzana i przemurowana, ostatecznie, jaką jest teraz, ukończoną została w roku 1767. Jest to gmach długi, wązki, w proporcji całości za niski; stylu nie ma żadnego, ani też dobrym gustem się nie zaleca. Sam klasztor, o dwóch piętrach w czworobok, jest budowlą bardzo prostą, trwałą i wygodną; kościół ma obszerną i wielką nawę, presbiterium, chór zakonny i kaplicę po lewej stronie drzwi głównych przybudowane. Przy południowej ścianie wznosi się wysoka wieża z kopułą, na której zawieszane są dzwony i zegar. Rozległe podwórza mieszczą zabudowania gospodarskie i dom szkolny. Przed wejściem do kościoła z lewej strony znajduje się galerya sklepiona z arkadami, w kwadrat zabudowana, w środku której, pomiędzy drzewami lipowymi, wznosi się kaplica. Na ścianie frontowej ganków sterczą trzy małe z kopułami wieże, wewnątrz zaś zawieszane są obrazy olejno malowane, przedstawiające, jak zwykle, stacye krzyżowe. Sam kościół wewnątrz jest piękny, cały malowany al fresco przez bracia Żebrowskiego, tego samego, co malował w roku 1753 kościół oo. bernardynów w Warszawie, zresztą obszerny, widny, czysto i starannie utrzymany, szkoda tylko iż w stosunku swych rozmiarów za niski, o kamienną posadzkę, ze szklami kolorowymi. Sklepienie ma krzyżowe, przedzielone symetrycznie półkolistymi arkadami. Ołtarze wszystkie z drzewa, w stylu tak zwanym rokoko, malowane na biało i w części wyzłacane. W wielkim ołtarzu o sześciu kolumnach i ośmiu pilastrach, z kapitelami korynckimi, umieszczonych jest ośm statuetek różnych świętych, wcale niezłej roboty. Pomiedzy niemi w środku mieści się owa drewniana statua Bogarodzicy, cudami słynąca, zasuwana obrazem olejnym na płótnie malowanym. Wyobraża Najświętszą Pannę w dzieciennym wieku, z koroną na głowie, otoczoną 12 gwiazdkami i promieniami; po

nie odznaczają. Po korytarzach dolnych, zwykłym obyczajem, wiszą portrety ojców zakonu i obrazy świętych, a cele, refektarz, kuchnia i składy opatrzone są napisami, zawierającymi sentencje duchowne i świeckie.

Do murów klasztornych przytyka obszerny łąsek, zarośnięty sośniną i dzikimi drzewami, położony nad jeziorem i starannie ogrodzony. Dzieli go przez całą długość szeroka droga, do której schodzą się boczne ścieżki, otoczone z obu stron darniowym wałem, do siedzenia dla pobożnych pielgrzymów przeznaczonym. Nic bardziej malowniczego, jak ten łąsek w czasie odpustu. Widać tam ciągły napływ przechadzających się tam i nazad; widać charakterystyczne kompanie ludu wiejskiego z różnych okolic kraju: Kujawiaków, Dobrzyńsiaków, Mazurów, Kurpiów, łączących się razem z ludźmi wyższych stanów; śpiewy pobożne rozlegają się po łąsku i klasztorze, co wszystko razem stanowi całość dziwnie uroczą i zajmującą.

Zadanie konikowe.

Na 64 polach szachownicy rozrzucony jest pojedynczymi zgłoskami wierszyk. Idzie więc o to, żeby te zgłoski rozpięchnione spojrzeć w myśl za pomocą skoków konika, zaczynając od pola naznaczonego pismem czarniejszym. Konik dotknąć powinien kolejno wszystkich pól szachownicy, na żadne dwa razy nie powracając.

smo	Jak	wio-	ka	ei,	ży-	ta	Sło-
wo	mi-	pi-	o-	wi-	wi-	dzie-	cie,
cie,	na-	tek	sen-	we	wo	nie;	wio-
lu-	o-	kwie-	czu-	chet-	sne,	no-	de
sze.	kwia-	cie-	No-	ne	cia	wio-	technie-
Przym-	chne	Jak	nie	u-	we	Mlo-	ra-
wszy	mlo-	nie	pta-	ne.	dzie-	dzi	sen-
pie-	sze,	Pier-	de-	Bu-	ne	dos-	ei,

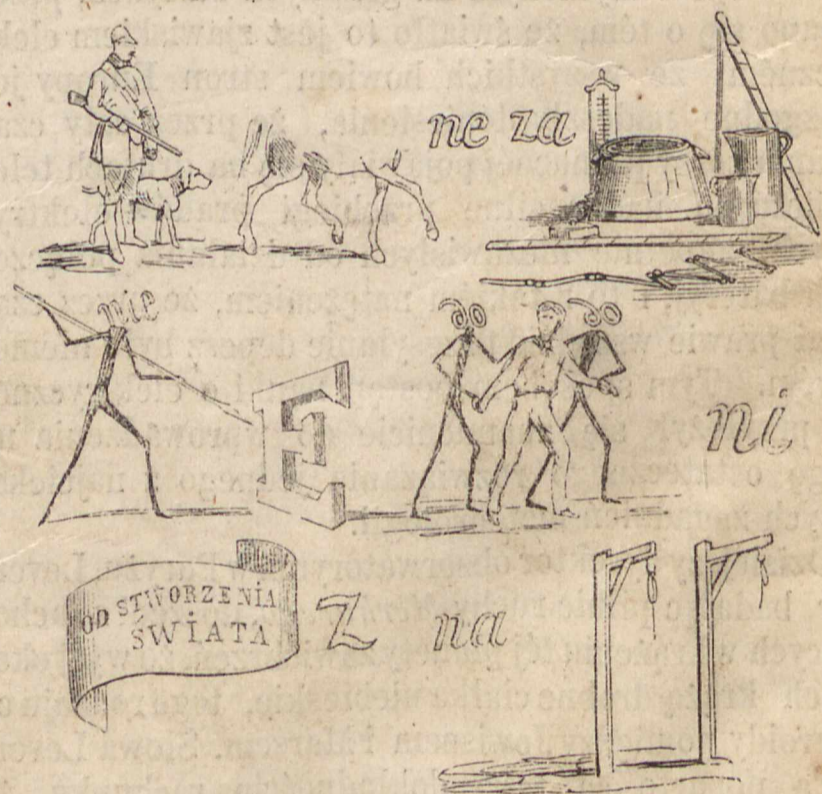
Rozwiązanie zadania szachowego Nr 1.

Białe.

Czarne.

- 1) E 7 — C 7 bierze † 1) B 8 — C 7 bierze.
- 2) C 5 — D 6 bierze † 2) C 7 — D 6 bierze.
- 3) G 7 — E 8 † 3) D 6 — E 5
- 4) F 2 — F 4 † 4) E 5 — F 5.
- 5) A 4 — C 2 † i mat.

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 1.

W Ameryce rzemiosła prowadzą ludzie ze światłem; częściej też między niemi napotyka się wynalazki.